



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEGO,

spisał Michał Krzemień.

Do-
użo jest ludzi, którzy mogą sięgnąć pamięcią w bardzo wczesne lata swego dzieciństwa, a w dojrzałym wieku pamiętają zdarzenia okoliczności, na które patrzali niegdyś, nie rozumiejąc ich wcale. Inni znowu nie pamiętają nic długo, jakby dusza ich spała w pierwszych latach życia, aż dopiero nagle przebudza ją silne jakieś wrażenie, i od tej chwili pamięta już wszystko. Jak

widać, musiałem ja właśnie być z liczby tych dzieci, których dusza późno się obudziła. Nie pamiętałem nic wcale, aż do chwili strasznego przerażenia, którego wspomnienie dziś jeszcze dreszczem mię przejmuję.

Była to ciemna noc, i gęste jakieś krzaki jeżyły się nokoło; księżyc czasem przebłyskiwał z za czarnych chmur i znikał natychmiast; przy tych błyskach spostrzegałem straszną jakąś postać, której szpony czy ręce szarpały mię, zdzierając ubranie:

— Mamo! mammo! tatku, ratuj! — krzyknąłem, i w tejże chwili poczułem coś wielkiego w ustach, musiałem trzymać usta szeroko otwarte, a krzyżeć już nie mogłem; wiem, że ubranie moje było aksamitne, zapewne musiało cno mi się podobać i dla tego je pamiętam, ale więcej już nie pamiętam nic, oprócz tego uczucia przerażenia, na które nie mam wyrazu, lecz które wstrząsa mną i w obecnej chwili, na samo wspomnienie owego strasznego wypadku.

— Zkądże się to wzięło?

— A leżało w krzakach nagie i jakby nieżywe, zmarznięte niby, a tym oto łachmanem przyrzucone, a usta zatkane miało.

— O rety! rety! a jakże wy to znaleźli? zabłąkane stać, i ktoś odarł!

— Albo to ja znalazłem, to Kruczek, co gwałtem za mną wymknął się z domu, gdy rano bieliznę upraną odnosiła; stanął tam nad wodą w krzakach, już blisko Belwederu i szczeka, szczeka na zabój, a piszczy, aż zeszedłem z drogi zobaczyć, co tam takiego, i znalazłem martwe niby dziecko; przyniosłem, ogrzałem, i odżyło.



— O rety! rety! dla Boga! Ale ono chyba zamrze, bo się ledwo rusza!

— Co też to się za dziwy teraz dzieją na świecie! rozbójstwo jakieś.

— I cóż wy z tém dzieckiem zrobicie? delikatne to; wyraźnie obdarto dla sukien.

— Albo ja wiem! ale chyba nie zamrze, bo mu już niemoc odchodzi...

Takie rozmowy i tym podobne słyszałem zapewne po wiele razy, nie rozumiejąc ich, zanim mi tak dobrze w umyśle utkwily, że zdaje mi się, jakbym słuchał ich jeszcze. Domyślałem się, że z zaduszenia, i przeziębienia, i strachu byłem podobnie chory, ale wracałem do zdrowia i przytomności pod opieką poczciwej jakiejś kobiety, praczki podobno. Siedzałem lub leżałem w jakiejś dużej pace, która tak wyglądała, jak wierzch od wielkiego pudełka. Stało to w kącie małej izby, było w tém siano nakryte spódnicą, i ja nakrywałem się też samą spódnicą, a czarny pies Kruczek przytulał się do mnie. Nie pamiętam, żeby mi było zimno, ani żebym pragnął jeść lub pić, ani żeby mi uderzono kiedy, ztąd wnoszę, że moja opiekunka dobrą być musiała.

Raz ocucony ze snu dziecięctwa, pamiętam zresztą odtąd wszystko. Nie wiem po który raz słyszałem powtarzaną powyższą rozmowę, siedząc już nie w mojej pace, lecz na trawie przed domem, bawiłem się z Kruczkiem, gromadka kobiet rozmawiających stała przedemną, a tuż obok drogą przechodzili ludzie czasami. Pamiętam, że jakaś kobieta porządnie ubrana zatrzymała się z tyłu za rozmawiającymi i słuchała ich rozmowy. Przypominam to sobie dobrze, gdyż Kruczek warczał na tę kobietę i pokazywał jej zęby. Na raz rzuciła się ta kobieta do mnie, krzycząc:

— Mój synuś! moje dziecko! mój Wacio! znajduję cię przecież.

Zrobiła się wielka wrzawa. Kobieta ścisnęła mnie, płacząc z radości, Kruczek rzucał się, chcąc ją gryźć i szarpał się, szczekając, a moja dotychczasowa opiekunka i jej znajome odpędzały go, wypytujac owę ścisnąjącą mnie kobietę. Ona opowiadała, jak z mężem i z synkiem poszła w niedzielę na przechadzkę do Łazienek, jak spotkała się ze znajomymi i zagawędziła, a dziecko tymczasem odleciało i zabłądziło prawdopodobnie, jak całe ich towarzystwo szukało dziecka do rana niemal, i jak nareszcie odwieziono ją gwałtem do domu, nieprzytomną z rozpacz. Odtąd codziennie opuszczając gospodarstwo krążyła ona w nieokreślonej jakiejś nadziei po parku Łazienkowskim i w okolicy, dopytujac się ludzi, czy nie widzieli takiej a takiej dzieciny, aż spostrzegła oto mnie i odnalazła.

Moja opiekunka i jej towarzyszki słuchały tego z podziwem, a wszystkie okoliczności zgadzały się z prawdą widocznie, ponieważ, jak się dziś domyślam, obca kobieta dowiedziała się szczegółów z podsłuchanej rozmowy. Potem wszystkie kobiety uściskały się z ową obcą, a ona, wzięwszy mnie na ręce, owinęła w chustkę i poniosła prędko drogą w świat. Ja byłem przytém wszystkiém zupełnie jak odurzony, dopiero w ostatniej chwili, poczuwszy się unoszonym, krzyknąć zacząłem:

— Kruczek, nie daj! — i Kruczek rzucił się na moją obronę, ale jego pani zatrzymała go gwałtem, a moja niby matka przycisnęła moją twarz do swego ramienia tak mocno, że omilkłem przyduszony, i okropny strach mię ogarnął, bo

przypomniałem sobie owo zatkanie ust w krzakach. Wkrótce jednak kobieta pozwoliła mi odetchnąć. Spojrzałem, ale nie było już Kruczka, kobieta niosła mię jakiś czas, potem wsiadła ze mną do powozu i jechaliśmy prędko, aż w ciasnej jakiejś ulicy, gdzie dużo domów było, powóz stanął. Kobieta wzięła mię znowu na ręce i weszła w głąb domu po wąziutkich schodkach wysoko.

— Pani Janowa! proszę na chwilkę! — rzekła, uchylwszy drzwiczki. Wyszła z nich stara, kulawa, bardzo brudna kobieta. Zaczęły coś szeptać z sobą, spoglądając na mnie, postawiając mię na skrzypiących deskach strychu. Sprzeczały się, targowały, i Janowa liczyła drugiej pieniądze na dnie jakiejś beczutki. Mnie tymczasem ogarniał strach coraz okropniejszy, aż widząc, że one się bardzo zagadały, przysunąłem się cicho do schodów i zacząłem schodzić, trzęsąc się ze strachu, aby tego nie spostrzeżono. Na raz zachwiałem się i czuję, że spadam:

— To dobrze, niech się lepiej zabiję, jeżelibym uciec nie mógł — pomyślałem. Nie zabiłem się, tylko czułem, że mnie bito okrutnie.

— To ty taki figlarz! to ty uciec chcesz od swojej babuni! która ciebie tak serdecznie kocha! Czekaj! łotryku, dam ja tobie napomnienie rodzicielskie, abys babunię kochał i nie próbował jej więcej opuścić! — tak mówiła okrutna pani Janowa i biła mię przytém, biła tak okropnie, że z razu krzyknąć zacząwszy, ustałem prędko, i ból czuć przestałem, i nie wiem, co się stało ze mną. Oczywiście musiałem zemdleć.

— Gdy na nowo poczułem ból, leżałem na kupie brudnych łachmanów w szkaradnym kącie, niby izbie pod strychem. Janowa nacierała mię czemcis i w usta mi coś wlewała, mówiac gegającym głosem:

— No no, mój wnusiu, ocknij-no się; nie po to ja taką kupę pieniędzy na ciebie wydałam, żebyś miał usnąć i jeszcze mi kłopotu narobić... Obudź-no się, zjedz grzecznie obiadek i weźmiemy się do lekcji, bo szkoda czasu marnować.

Zkąd ta Janowa słyszała co o takim wyrazie jak: lekcya? albo o marnowaniu czasu? i to w takiem przewrotném znaczeniu, jakie ona nadawała tym wyrazom? tego ja nie pojmuję, ale tak to było. Nie chciałem jeść czegoś szkaradnego na rozbitę skorupie, co mi podała, ale ona póty biła mię, aż zjeść musiałem płacząc. Potem rozpoczęło się to, co ona nazywała lekcją, a to znaczyło, że uczyła mię jakim głosem i z jak wyciągniętą ręką mam prosić „choć o grosik” panów i panie, które ona mi wskaże na ulicy.

Zrozumiawszy, że mam zebrać, poczułem coś takiego okropnego w piersiach, iż zacząłem już nie krzyknąć, ale wyć, jak jakie zwierzę, kopać i gryźć straszną Janową, jedném słowem, widać, że z rozpacz utraciłem rozum na chwilę. Lecz pani Janowa umiała i na to poradzić: póty biła cienkimi różgami, aby mi „szkody nie zrobić” jak mówiła, aż osłabłem z bólu i płaczu i uspokoiłem się, a ona wtedy mówiła znowu, kiwając głową:

— No no, a to dopiero krnąbrne dziecko; już przecież nie jedno edukowałam i wyedukowałam na ludzi, a z tém mi tak oporem edukacja idzie, jak z żadném! Ale już ja cierpliwa jestem i poradzę sobie, a edukacją dam! i trud mi się opłaci. Takiemu malutkiemu z taką delikatną twarzyczką każdy chętniej grosik da, niż mnie samęj.

I tak postanowiwszy, prowadziła dalej pani Janowa owę straszną „edukacją” aż osądziła, że mię wyedukowała dosta-

PRAWDZIWE CZARY,

RZECZ NUDNA LUB ZABAWNA, JAK SIĘ KOMU PODOBA.

Spisana pr. Maryą Świdorską.

(Dokończenie).

IV.

W o j n a.

tecznie. Wtedy odziałła mnie w okropne lachmany, wzięła w jedną rękę kij, mnie wzięła za rękę i poszliśmy, jak mówiła, na zarobek, a ja już wiedziałem, że to znaczyło żebranię. Usiadła sama pod jakimś murem, kazawszy mi stać o kilkanaście kroków ztamtąd i prosić z płaczem o jałmużnę porządnie ubranych ludzi.

Czułem, że patrzyła na mnie z daleka, trząsałem się cały, jak w febrze, zdawało mi się, że umieram i że skonam, gdy po pierwszy raz rękę po „grosik” wyciągnę, a jednak wyciągnąłem ją, bo wiedziałem, co czekało mnie „w domu” w razie, gdybym nie był posłuszny. Musiałem wyglądać istotnie godnym litości, bo ten, do kogo się zwróciłem, stanął i przypatrywał mi się, chciał przemówić, ale nim usta otworzył, ja upadłem przed nim na ziemię krzycząc, co mi sił jeszcze starczyło zbiedzonemu:

— Ja nie chcę żebrać! to pani Janowa każe i bije! ach bije!

— Która to pani Janowa? — zapytał ten pan i schwylił mnie za rękę. Odwróciłem się, pokazując ją palcem, ale ona już uciekała i była daleko, zapomniawszy nawet kuleć podobno. Pan ten popatrzył na mnie długo, pomyślał nareszcie i rzekł:

— Pójdź ze mną. — Wsadziwszy mię do powozu, usiadł sam, i wkrótce przybyliśmy do jakiejś sali, gdzie było dużo dzieci.

Mój pan rozmówił się z panią, która chodziła pośród tych dzieci, powiedział mi, że pozostanę u tej pani, będę się uczył z dziećmi w „ochronie”, a jeżeli będę dobrym i posłusznym chłopcem, to on postara się, abym mógł żyć uczciwie i nie żebrać. Rzuciłem mu się do nóg, ścisnąłem go, całowałem, płakałem, przyrzekając czynić wszystko, co on każe, byłem tylko nie żebrał. Dzieci inne patrzyły na to wszystko, pani z ochrony płakała. Pan dał tej pani pieniądze, prosząc, aby mi odzienie sprawiła, a mnie przykazał, abym opowiedział tej pani wszystko, co pamiętam, co mi się wydarzyło w życiu.

— To zdaje się dziecko uczciwych rodziców, zabląkane może, chciałbym odnaleźć jego rodzinę, jeżeli poda nam jakie wskazówki; racz go pani wypytać i mnie zawiadomić, bo nie mam czasu sam rozpytywać — powiedział mój pan do tej pani, i poszedł, obiecując wrócić. Gdy dzieci się rozeszły, pani wzięła mię na kolana, już umytego i przyodzianego czysto, i zadawała różne pytania:

— Jak się nazywasz?

— Wacjo — odrzekłem.

— A mama jak się nazywa? a tatko? — ale już na to pytanie odpowiedzieć nie umiałem. I napróżno też siliłem się, aby odpowiedzieć na wiele innych pytań, to tylko, co tu już napisałem, pamiętałem dokładnie, i to też spisała pani i posłała w liście te wiadomości mojemu panu.

Pan robił poszukiwania, ogłaszał mnie w pismach, jak się później dowiedziałem, ale wszystko to napróżno; nikt nie zgłosił się po mnie.

Tymczasem pozostawałem w ochronie, mój pan był to doktór, płacił za mnie oddzielnie, aby uczono mię, wychowywano, i odziewano.

(d. c. n.)

Upłynęło dni kilka w spokoju i przyjemnościach: księżna Milutka ciekawie się dopytywała o nazwy, zwyczaje i obyczaje tych tak pożytecznych owadów, których wyroby na każdym kroku spotykała, którym zawdzięczano prócz żywności ubranie, światło, farby i mnóstwo innych rzeczy. Król Rozsądnik nawet nie mógł się nadziwić wielu nieznanym sobie dotąd żyjątkom i nie myślał o powrocie do siebie; księżę Kalinek rozmaite tworzył projekta—gdy nagle, jednego ranka, nim się jeszcze książećca rodzina ze snu obudziła, powstał wielki szum i brzęk w pałacu. Przestraszony książe posłał natychmiast po Burezymuchę, który z początku nie chciał nie mówić, żeby państwa nie przerażać, ale w końcu musiał się przyznać, że jakiś szczur polny, wtargnąwszy śród nocy do pałacu, wielkie tam sprawił zniszczenie, pogryzłszy zapasy żywności i meble nawet, a tak się podstępnie wykradł, że go straż, u bram czuwające, wcale nie widziały.

— Nieby to jeszcze nie było—dodał Burezymucha—gdyby nie myśl, że ten zbójca powróci i to pewno nie sam, lecz z towarzyszami równie niegodziwymi, jak on.

— Domyślał się—rzekł książe, zachowując zimną krew, chociaż go ta wiadomość poruszyła do głębi — musi to być ów złodziej, którego odprawiłem, gdy mi proponował zbudować mieszkanie. Teraz będzie się mścił bezwątpienia; ale głowy tracić nie trzeba! myśmy raczej, co począć, jak się bronić; radź, wierny Burezymucho!

— O to niema znów tak dalece obawy — odparł wierny sługa—jeśli książe pan pozwoli, to za godzin kilka będziem mieć wojsko, przed którym pierzchnie dziesiątek szczurów, nietylko ten jeden złoczyńca.

— Wiem, że ci zaufać można, wierny szambelanie, mianuję cię więc naszym feldmarszałkiem i daję pełnomocnictwo do zbierania wojska ku obronie pałacu i państwa naszego. Ja tymczasem idę uspokoić księżnę Milutkę, która się pewnie mocno zatrzwożyła tym wypadkiem.

W kilka godzin później, na podwórzu zamkowym mustrowały się zastępy wojaków; więc najprzód szły tęgopokrywe żuki, co twardym pancerzem przykrywają parę delikatnych błonkowatych skrzydeł, między niemi odznaczają się *Jelonki* (*Cervus lucanus*) na 2 cale długie, brunatne, z wielkimi, widłowatemi szczękami, do jelenich rogów podobnemi i *Kaluźnice* (*Hydrophilina*) z różkami maczugowatemi i wiosłowatemi nogami, smolasto czarne, także na 2 cale długie, z długim też kolcem na piersi; te i w wodzie radę sobie dadzą wybornie, obok krocza *Bombardyerzy* (*Brachimus*): to wszystko ciężka artylerja z piechotą,—idą także jako pionierzy *Mrowkolewki* (*Myrmecoleon formicarius*) co to umieją w piasku dołki lejkowate wykopywać i tam na nieprzyjaciela czatuja. Na skrzydłach armii, niby usarya i lekka kawalerya, z brzękiem i hałasem ustawiają się roje błonkoskrzydłych, o czterech błoniaztych, nierównych skrzydełkach, uzbrojone w sztylety, czyli żądła wysuwalne; szczęki mają silne jak kleszcze, między niemi *Osy* (*Vespa vulgaris*) w czarno i żółto obrączkowanych mundurach, straszliwe *Szerszenie* (*Vespa crabro*) i *Pszczoly* (*Anthophila*) i kosmate *Trzmiele* (*Bombus*). Śród tych uwija się Burezymucha a na skinienie księcia, który wraz z księżną Milutką z ganku wojskom swoim się przypatrywał, śpieszy udzielać potrzebnych objaśnień o rodzaju i sile bojowych szyków. Po długich wywodach o biegotości i zaletach rozmaitych pod broń powołanych owadów, dodał żwawy szambelan, wskazując na czerniejący w oddali rój, z którego bzykania i brzęczenia głośne

dochodziły, pomimo tego, że oficerowie, przebiegając szeregi, nakazywali spokój i milczenie:

— Musieliśmy wezwać i ten utrapiony naród dwuskrzydłych, dokuczliwe *Muchy* (*Musca domestica*) *Komary* (*Tipularia*) co się w bagnach lęgna, *Baki wołowe* (*Tabanus bovinus*) i inne, bo i te w czasie wojny zdać się mogą przeciw nieprzyjacielowi, potem postaramy się ich zbyć jak najprędzej, bo to naród niesforny i hałaśliwy; jest między nimi i *Mucha plująca* (*M. vomitoria*) i *Gzik* (*Oestrus*), co swe jaja składa w ciele żywych bydła i wiele innych, nie udało nam się

a księżę puścił się na krótką przechadzkę, dla obejrzenia okolicy. Niespokojna o męża Milutka, nie chciała go opuścić w tej wycieczce, strażom zaś kazano pozostać w pałacu, żeby się jaki nieprzyjaciel nie wśliznął. Zaledwie jednak księżęca para wysunęła się o kilka kroków, pozostawiając wierną drużynę swoją odpoczywającą po dniu znoju i pracy, gdy cały rój *Zmierzchnic*, nieznanych im dotąd motyli, otoczył ich, tworząc straż honorową. Na czele leciała *Trupia główka* (*Acherontia atropos*), dalej *Sośniarka* (*Sphinx pinastri*) której liszka tak jest szkodliwa dla drzew iglastych, *Zmierzchnica*



Nadeszła wiosenka (str. 434).

tylko sprowadzić dzielnego afrykańskiego wojownika, muchy *Zsetse*, tak strasznej dla największych nawet zwierząt.—Ale niechże Wasza Księżęca Mość pozwoli, żeby nasze wojsko odbyło musztrę, i okazało się w całej sile swojej.

Na sklinienie księcia Kalinka, wystąpiły szeregi pieszo lub na skrzydłach, przy huku bombardyerów, i wojowniczym brzęczeniu chrząszczów i trzmieli, podczas gdy szarańcze, trajkotki i inne bębniły po swojemu. Księżna Milutka przyglądała się z zajęciem walecznym szeregom zgromadzonym na obronę pałacu, a podziwiając zręczność wojowników i ruchliwość ich, dawała znaki, powiewając chusteczką, a żołnierze odpowiadali radosnym brzęczeniem i furczeniem skrzydeł.

Po skończonych manewrach, rozdano żywność wojsku,

winna (*Sphinx elpenor*), piękna *Kraśnica* (*Zygaena*) o skrzydłach wierzchnich zielonawo błyszczących z czerwonymi plamkami, a spodnich czerwonych, co lata i we dnie, rodzina *Przeziernic* (*Sesiadae*) do pszczoł podobna o przezroczystych skrzydłach, co także południowych upałów się nie boją, *Pawik nocny* (*Sphinx ocellata*) o pawich oczkach na skrzydłach i wiele innych jeszcze. Cały ten rój motyli wieczornych otaczał księżęcą parę, która nic podejrzanego nie znalazłszy w okolicach pałacu, wróciła niebawem do domu na spoczynek.

Ale zaledwie pierwszy sen skleił powieki monarsze, gdy jakiś szmer głuchy, podziemny, ale coraz się wzmagający, zaniepokoił wszystkich. Jakieś drapanie, skrobanie, gryzienie dawało się słyszeć wyraźnie w różnych miejscach, niepodo-

ba było jednak ani dojrzyć nieprzyjaciela, ani nawet wysłuchiwać, gdzie mianowicie skierował swe siły. Dopiero o świcie, przegryzszy twardy pokład, na którym wzniesiony był zamek książęcy, tuż obok bramy wchodowej ukazał się ogromny szczur polny. Nie mylił się książę Kalinek w swych domysłach, był to bowiem ten sam złoczyńca, niegdyś odprawiony z kwitkiem, a teraz powracający z całą zgrają sprzymierzeńców swoich, aby złupić i zrabować książęcą siedzibę. Szczury w liczbie dwunastu wysuwały się jeden za drugim i wprost kroczyły ku pałacowym kurtyarzom, ale nim się uszykowały do wtargnięcia tam, już naprzeciw nich wysunął się zwarty szereg *Jelonków*.

Cóż jednak znaczyl ten zastęp waleczny w obec olbrzymiej siły i wielkości nieprzyjaciela, który też zatrzymawszy się na chwilę, posunął się śmiało naprzód. Wtém zabrzmiała komenda Burczymucha a na to hasło rój Szerszeni z brzękiem wypadł na wroga, zatapiając ostre żądła w miękkie

i książę i król Rozsądnik wyszli na pobojuwisko i dziękują wiernym poddanym swoim, którzy wnet rozpraszają się po polach i łąkach, żeby świeżem pożywieniem siły pokrzepić.

— Cóż teraaz pocniemy z temi okropnemi trupami? — rzecze książę Kalinek: — poznaję olbrzymie ciało Gryzika, obok rozciągnięty jego towarzysz, niemniej atletycznej budowy. Byle tylko nie wywiązała się jaka zaraza, bo któż potrafi usunąć te olbrzymie zwłoki z przed bram naszego pałacu, który zgnilizną swą zapowietrzają?

— Niech się wasza Książęca Mość nie troszczy — odpowiada przemyślny Burczymucha — przecież gotując się do wojny, nieprzepomniałem o grabarzach.

Jakoż posuwały się zwolna niewielkie, bo na 8 linii zaledwie długie owady, czarne z żółto-czerwonemi pręgami na pokrywach swych: to *Grabarze* (*Necrophorus vespillo*). Cztery z nich stanęło przy jednym trupie szozura, cztery przy dru-



Most na rzece Tay (str. 135).

ciało opasłych szczurów. Za nimi osy, pszczoły, cała lekka kawalerya z takim animuszem rzuciła się na nieprzyjaciela, że ten zmieszany, przerażony, nie widział już środka obrony. Brzęk ogłuszający walecznych owadów, ostre ich żądła, ze wszech stron godzące, sprowadziły popłoch w szeregach szczurów: już wódz ich Gryzik daje sygnał do odwrotu przez raźliwym piskiem, już się szczury cofają ku dziurze, z takim mohołem przez noc wygrzyzionej, ale i tu droga zamknięta: tysiące owadów ciśnię się do wąskiego otworu a Trzmiel (co to same pod mchem i w miękkiej ziemi się gnieźdzą) już się dostały do korytarza i donośnym brzęczeniem dają znać, że droga do ucieczki przecięta. Wtędy szczury z piskiem rzucają się wprost ku lasowi, kłute, pędzone i kaleczone przez zajadłe żołdactwo. Darmo wodzowie nawołują do porządku, nic powstrzymać nie zdoła rozjuszenych wojaków: już dwa trupy ogromne legły na pobojuwisku, a reszta ledwie z życiem uchodzi, kryjąc się po dziurach i kretowinach. Bombardyerzy strzelają na wiwat, a cały chór owadów radosnym bzykaniem powtarza okrzyk zwycięstwo! zwycięstwo!.. Książę

gim: obesły go w koło, jak gdyby mierząc, potem silnym ryjkiem wkopały się w ziemię, odrzucając ją tylnymi nóżkami i grzebiąc korytarz podziemny, z którego ziemię wyrzucały naokoło trupa szczurzego. Książę z zajęciem się przyglądał tej robocie, nie wierząc, aby tak mały owad dał sobie radę z tak mozolną i ciężką robotą, ale nie wyszło pół godziny, a już w około zwłok Gryzika piętrzył się wał z ziemi, jednocześnie grunt podkopany osuwał się coraz niżej pod ciężarem ciała jego, które zwolna zniknęło z powierzchni.

— Za parę godzin — rzekł Burczymucha — już mało co widać będzie z naszego nieprzyjaciela, a do wieczora nie poznasz. Mości Książę, nawet miejsca, gdzie zwłoki jego leżały; tymczasem jeszcze *Scierwnice*, (*Sarcophaga carnaria*), *Trupnica* (*S. mortuaria*), *Mucha padlinowa* (*Musca cadaverina*) i inne składają pośpiesznie swe jajka w zwłokach nieżywych szczurów, a z tych wkrótce wyklują się larwy czyli robaczki, które pożrą wszystkie mięso, tak, że tylko nagi szkielet zostanie pod ziemią i nie potrzebujemy się obawiać żadnych wyziewów szkodliwych.

V.

Co to owady mogą.

Zdumiony książę poglądał na pracę wytrwałych zwierzątek, potem rzucił okiem na zieloną łąkę opodal, nad którą wlatywały roje różnobarwnych motyli, podczas gdy pracowite pszczołki, poranną pieśń nucąc, zbierały z kwiatów rosą odświeżonych wonne soki na miód i wosk swój; tam znów ujrzał mały kopiec z ziemi i drobnych korzonków, gdzie skrzące mrówki gromadziły zapasy, a niektóre z nich wynosiły na słońce te białe gąsienice, mylnie jajkami mrówczemi zwane, których tyle widać w każdym mrowisku. I zdjął go wielki podziw nad tym światkiem stworzonek Bożych, które tysiącami rozsiane w powietrzu, po ziemi, po drzewach, pod ziemią i w wodzie nawet, — wszędzie żyją, pracują, każde po swojemu. Teraz dopiero poznał, jaka to potęga w tych drobnutkich żyjątkach, których miliony powolną pracą tyle dokonać mogą i zamyślił się głęboko nad tem, jakby temi tłumami pokierować, żeby szkody nie czyniąc, mogły rozwijać swoją ruchliwość i pracowitą działalność. Wtém księżna Milutka zbliżyła się do meża i widząc go tak zamyślonym, spytała nad czymby dumal.

— Zastanawiam się — rzecze książę — ile my zawdzięczamy tym drobnym owadom, które nam tak wiernie służą i myślę, dla czego to ludzie tak na nie wyrzekają i wszelkimi sposobami tępić je usiłują.

— Pozwólcie, dzieci moje, że ja na to odpowiem — rzekł król Rozsądnik, który przed chwilą już zbliżył się był niepostrzeżenie i słyszał ostatnie słowa księcia Kalinka. — Od kiedy jestem tu z wami, przypatrywałem się uważnie temu tak licznemu i ruchliwemu plemieniu, a w dodatku poznałem się z jednym bardzo uczonym Molem książkowym, który mi udzielił swoich notat i wiele ciekawych rzeczy o współrodakach swoich mi opowiedział. — Owady, te małe stworzonka (bo największe z nich są jeszcze od nas karzełków znacznie mniejsze) które żyją wszędzie, gdyż znajdujemy je tysiącami w powietrzu, w wodzie, w drzewie, pod ziemią, po szparach skał, wśród ludzi i zwierząt, w świetle i ciemności, w zimnie i gorącu, — owady te, mówię, są najliczniej rozmnożone ze wszystkich stworzeń na ziemi. Ani zbliżone do nich (gdyż do zestawnych także się liczą) pająki, skorupiaki i robaki, ani brzuchołce, których także mnóstwo żyje w wodzie przezwannie, ani wspaniałe zwierzęta kregowe (ssące, ptaki, ryby) nie przedstawiają takiej różnorodności gatunków i takiego mnóstwa żyjątek ruchliwych i przemyślnych. A jak one bywają zręczne i zwinne, najlepiej przekonać się możemy, widząc ich tyle wokoło siebie. Oto i teraz: tu burczy żuk ciężki, tam brzęczy pszczołka pracowita, a obok buja rokoszny motyl; tu liszka obżarta liście ogryza, tu śliczna ważka o lązarowych skrzydełkach unosi się nad wodą, a jakaś jej krewniaczka pływa zręcznie, jak gdyby się ślizgała; nad nami unoszą się roje drobnych muszek i komarów. A mają też one niemało nieprzyjaciół, co na ich życie czyhają, oprócz ptaków, które je w lot chwytają, a jajka ich i gąsienice wyjadają z upodobaniem, polują na nie także i nietoperze, pająki, żaby nawet, nie mówiąc już nic o człowieku.

— Widzę, że ojciec kochany łaskawiej się teraz zapatruje na te owady, których dawniej tak nie lubił — przerwała z uśmiechem księżna Milutka, chłodząc się swym wachlarzem ze skrzydeł motyli.

— Nie przeczę — mówił król Rozsądnik — że odkiedy się baczniej przypatruję temu ruchliwemu ludkowi, zaczynam się nim coraz bardziej interesować, jednak pozwól mi powiedzieć, co i wy, przyznać musicie, że dziwić się nie należy, iż ludzie gorliwie tępią owady niektóre i mocno na nie wyrzekają. Działalność tych milionów żyjątek częściej jest zgubną niż pożyteczną dla człowieka, z którym one ustawicznie toczą wojnę, kalecząc go boleśnie, (naprzykład w gorących krajach, gdzie od ich ukąszeń obronić się nie można) niszcząc jego żywność, suknie, mieszkania, lasy, zboża, kwiaty, sprzęty.

— A pszczołki, jedwabniki, czerwcy, co taką śliczną farbę albo szelak dają, czy także ojczulek do szkodników zali-

czy? — spytała figlarnie księżna Milutka, podając królowi nalistku plasterek wyborowego miodu.

— Chcesz mnie starego przekupić — odparł ze śmiechem król Rozsądnik — ale nic to nie pomoże, bo chociaż miód zjem ze smakiem i przyznam, że nam karzełkom owady wiele dobrego zrobiły, jednak ludzie mają z nich więcej szkody niż pożytku.

— Ale jakże smutno byłoby na świecie bez brzęczenia muszek, bez jaskrawych motylek i złocistych chrząszczyków! Jak cicho i nudno byłoby wszędzie! — zawołała księżna Milutka — Gdyby ci olbrzymi ludzie a przynajmniej ich działki, co nie tak strasznie ogromnie wyglądają, zechciały się przypatrzeć z bliska owadom, ileżby się mogli nauczyć od przemyślniej mrówki, od pracowitej pszczołki, od wytrwałego jedwabnika, a choćby i od leciuchnego motylka, co ledwie dwie pary, czasem tylko godzin kilka żyjąc, poświęca czas i pracę, żeby przygotować żywność i wygodę wszelkie swoim działaczkom, których nawet widzieć nie będzie, bo się dopiero po jego śmierci kiedyś z jajeczek jego wyklują.

— To też się i uczą nie jednego od owadów, a podobno nawet mądre książki i ładne wierszyki o nich piszą ci ludzie, jak mi mówił Mól książkowy, który to przecież wiedzieć musi. Ale ty, moja Milutko, co się tak interesujesz owadami, nie wiesz może, że z ich jajeczek wylęgają się rozmaite gatunki gąsieniczki; są to u niektórych *czerwie* (larwa) bez nóg zupełnie, u innych *pedraki*, mające znów po 3 pary nóżek blisko głowy; u innych wreszcie *liszki*, co czasem aż 9 par nóżek mają. Gąsienica jest bardzo obżarta, a to nieładnie, przyznasz, moja córeczko.

— Ale też ona rośnie bardzo szybko — dodała księżna Milutka — zmienia skórkę, potem jako *podczwórka* w twardej rogowej powłoczce nic już nie je i nie rusza się, a kiedy z rogówki wyleci owad prawdziwy, to także je mało i bardzo krótko żyje.

— Moi państwo — odezwał się książę Kalinek — wy coś bardzo dużo wiecie o owadach, nie rozumiem tylko, czemu im za grzech poczytujecie, jeśli jedzą, gdy są głodne, jak ja w tej chwili.

A właśnie, gdy to mówił, cała straż książęca z kapelą na czele wysunęła się przed pałac, żeby dostojnych swych państwa z całą wspaniałością prowadzić do sali jadalnej, dokąd my im towarzyszyć nie możemy, nie będąc zaproszeni....

Tak mniej więcej się kończy pismo szanownego Drukarza Kornika, kto nie wierzy, niech sam takowe przeczytać spróbuje.

NADESZŁA WIOSENKA...

Nadeszła wiosenka,

Brzmi w koło piosenka

I w dźwięczny jednoczy się chór;

Bo ptaszki radośnie

Śpiewają o wiosnie,

A pełne ich pola i bór.

Na polu, na łące,

Kwiatczków tysiące,

A wszystko weselem tak tchnie!

Już brzęczą komary,

I muszek też chmary

Po długim swym budzą się śnie.

Słoneczko tam w górze

Na niebios lazurze

Z uśmiechem spogląda na świat,

I ziemię ogrzewa,

I światło rozlewa,

Co barwi motyla i kwiat.

Tak miło... uroczo...

Bociany klekoczą,

Gdy dążą po zdobycz na łąn,

Wszystko się raduje,
A wszystkiem kieruje
Bóg wielki, nasz Stwórca, nasz Pan!

Helena Bojarska.

Most na rzece Tay.

Rzeka Tay płynie w Szkocji, a most, przedstawiony na naszej rycinie, wstąpił się smutnym wypadkiem. Parę lat temu most ten zawałił się w chwili, gdy pociąg w całym pezie nań wjechał, mnóstwo osób poniosło śmierć dnia tego nurtach rzeki. Dziś most odbudowano, nie pozostało najmniejszego śladu katastrofy, rzeka płynie spokojnie, jak dawniej, a lokomotywy przebiegają po moście z hukiem i gwiłdem.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

— Nie będziemy pierwsi ani ostatni — odrzekł Tomasz. — ci, na których szkielety patrzymy, nie długo cierpieli prawdopodobnie, gdyż nie żyli już, gdy ich opuszczono. Zdażyło mi się nieraz w lasach i na równinach znachodzić zwłoki myśliwca lub Indyanina, który zapewne zraniony w walce ze zwierzęciem, konał i cierpiał długo bez nadziei ratunku, spragniony i głodny, nim umarł. Zawsze wtedy przychodziło mi na myśl, że nad moimi kośćmi dumać tak będzie kiedyś jakiś myśliwiec, jak ja dumam nad owemi szkieletami.

— I ta piękna nadzieja nie odstręczyła cię od twego rzemiosła? — spytał Karol.

— Nie — odrzekł Kanadyjczyk — bo śmierć nikogo nie minie. Całe życie przeżyłem w lasach, szczęśliwy z mojej swobody. Ojciec pana Pawła nie raz próbował osiedlić mię w swych włościach, lecz po miesiącu próby, rozchorowawszy się, musiałem zawsze powracać w lasy po zdrowie.

— Nie pomyślałeś też kiedy o ożenieniu się?

— Białe kobiety nie lubią włóczęgi, wołają chaty. Musiałbym żenić się chyba z Indyanką, a do tego nie miałem ochoty.

— Hm! i Indyanki rozmaite przecież bywają: a gdybyś też ożenił się z tą dobrą Nilką?

— Zapewne, Nilka znośniejszą jest od wielu Indyanek, ale widzisz, jest ona dobrze wychowaną dla tego właśnie, że musi być, jak to powiada, istotnie córką potężnego wodza: otóż gdybym ja chciał się z nią żenić, to onaby na to znowu nie przystała.

— Jednakże niezawadziłoby spytać, bo uważaj tylko, jak ona uprzejmie nazywa cię Sercem prawem, nuż przystanie? Może życzy sobie, abym ci służył za dziewczosłeba, to spytam za ciebie?

Ostatnie te wyrazy zniecierpliwily ostatecznie Tomasza, to też wybuchnął:

— Pytaj za siebie, jeżeli chcesz, co do mnie, poradziłbym sobie sam, gdybym miał ochotę.

— Za siebie? — mruknął Paryżanin — czemu nie? tylko w tém przeszkoda, że tu w pustyni założywszy pracownią stolarską, nie wielki mielibyśmy odbyć... a gdybym sprowadził sobie żółtą żonę do Paryża, toby znów okrutnie nieprzyzwoicie gapiono się na moją żonę...

Tak gwarząc o tém i owém, śpieszono dalej, dopóki znużenie nie zmuszało wędrowców do spoczynku. O świcie Paweł, strażujący z kolei, obudził towarzyszy:

— Posłuchajcie-no, co to za dziwne odzywa się huczenie — rzekł. Tomasz i Minno, posłuchawszy chwilę, krzyknęli razem:

— Zubry nadchodzą!

Wędrowcy prędko zerwali się na przyjęcie zbyt wczesnych odwiedzin; rozglądali się, ale poranny zmierzch zalegał, przecież w stronie południowej, a więc przeciwnie od rzeki, zdawały się poruszać niewyraźne cienie. Po dwakroć w krótkich przerwach usłyszano stłumiony odgłos, który zwrócił uwagę Pawła. Był to odgłos ziemi, grzmiący pod kopytami żubrów. Gdyby podrozni byli na koniach i przygotowani do drogi, nie wieleby się o spotkanie z żubrami troszczyli. Ale teraz było o czém pomyśleć, przypuściwszy, że żubry, pędząc prawdopodobnie ku rzece, wpadną na obóz... Zależało to najzupełniej od fantastycznego widzimisię strasznych zwierząt, które mogły przecież i przejść koło obozu.

Wschodzące słońce rozpędziło tymczasem cienie, i wkrótce ujrano ze sto ogromnych żubrów, pasących się lub przeżuających, o jakie dwa kilometry odległości od obozu. Jakby na powitanie słońca, dało się słyszeć kika ryków. Na to hasło, wszystkie głowy podniosły się, i nagle całe stado rzuciło się do biegu za obranym przez się wodzem, ziemia zahuczała znów pod licznymi kopytami.

Tomasz, Minno i Wampa naprędce urządzili niby barykadę z pak i pakunków i postavili muły za tą słabą uchroną. Paweł, którego rana prawie się już zagoiła, uzbroidł się, nawet ojciec Anzelm pochwycił strzelbę. Karol, bardzo zdziwiony niż przestraszony, patrzył na groźne zwierzęta, tratujące wszystko na drodze. Nilka opatrywała łuk starannie.

— Cóż to będzie za rozprawa? Czy mamy działać zaczepnie? lub odpornie? — pytał Karol Tomasza.

— Spodziewam się, że ani tak, ani owak — odrzekł tenże — Grozi nam tylko albo dziwactwo starego jakiego żubra, albo swawola młodego, któryby poskoczył ku nam, a matka za to pomściłaby się na nas. Proszę cię tylko, mój Karolu, nie powtarzaj swojej bohaterskiej rozprawy z niedźwiedziem, nie strzelaj, chyba na moje wyraźne wezwanie.

Karol skinieniem tylko obiecał posłuszeństwo, stał on zdumiony, nie mogąc oczu oderwać od dwóch wspaniałych żubrów, które uderzając się po bokach krótkim ogonem, zbliżały się dumne, zuchwałe, poważne. Stanęły ledwo o pięćset kroków, niestety! wprost przed obozem, wydając ryki przerażające. Straszne to były zwierzęta, o wielkiej nad miarę głowie, która otoczona grzywą ogromną kudłata, zdawała się jeszcze potworniejszą. Szczególna broda, długa prawie do ziemi, nadawała coś nakształt ludzkiego wyrazu tym dziwnym istotom, a rogi szare, płaskie, zakrzywione i w tył odgięte, stanowiły broń straszliwą. Na odgłos nowego ryku, całe stado skupiło się za wodzem. Chwila to była uroczysta: zwierzę wyzywało człowieka, dziwiąc się, iż nie uchodził.

Nagle, okrzyk przerażenia wydarł się z piersi podróżnych: Nilka, wyszedłszy z poza barykadę, postępowwała ku żubrom.

— Wracaj! co czynisz? Czy rozum straciłaś? Gdzie idziesz? — wołano. Ona nie odpowiedziała, nie odwróciła się, chwila nieuwagi mogła kosztować ją życie. Wódz stada z czołem lekko schyloném, długą brodą włócząc po trawie, nie spuszczał oka z dziewczyny, poczynając drapać ziemię lewą przednią nogą.

Zbliżywszy się na trzydzieści kroków, Nilka przyklekła i łuk podniosła, biorąc na cel zwierzę, towarzysze jej patrzyli na to bez tchu prawie. Żubr spuszczał głowę coraz niżej, Nilka pozostawała nieruchoma. Nagle zwierzę podniosło w górę głowę, aby zaryczeć, i ujrano strzałę wpijającą się w pierś jego z boku...

Żubr raniony rzucił się na śmiałą dziewczynę, która powstawszy nagle machała rękami, krzycząc przeraźliwie, co również naśladowali dwaj Indyanie i Tomasz. Zestrachany tym niespodzianym wrzaskiem zwierzę, gwałtownie zбочzył z kierunku, w którym szedł poprzednio. Ale stado, ślepo pędzące za nim, wpadło na Nilkę, uniesione własnym rozpędem, a potem dopiero zdołało zбочzyć za wodzem. Dziewczyna rzuciła się na ziemię, zwijając w kłębek i znikła na chwilę pod dzikim huraganem zwierzęcym, który przeleciał za wodzem, nie tknąwszy obozu. Wędrowcy skoczyli ku Nilce, sądząc, że znajdują tylko martwe jej szczątki. Dziew-

czyna wstała, chwiejąc się i opierając o drzewo, aby nie upaść.

— Raniona jesteś? — krzyczał Tomasz.

— Żubr któryś musiał mi kopytem nogę skaleczyć! — odrzekła. Odniesiono ją do obozu, który ocalała.

— Czy zabity? — pytała.

— Zabity? kto?

— Stary żubr, na którego wypuściłam strzałę, aby zoczył z kierunku.

Wtedy dopiero, spojrzawszy za stadem uciekającym, jak szalone, ujrzano o jakie sto kroków pozostałego jednego żubra, który zakręciwszy się w miejscu, padł właśnie na ziemię. Ze zrećnością, właściwą wielu dzikim, Nilka trafiła go prosto w serce. Zraniona noga dziewczyny już spuchła tymczasem; ojciec Anzelm coprędzej opatrzył ją i ścisnął mocno bandażami, które zmaczał następnie. Nilka, spróbowałszy, oznajmiła, że będzie mogła iść dalej.

Minno i Wampa ładowali muły, Karol poszedł obejrzeć żubra. Wyrwawszy strzałę z piersi ogromnego zwierzęcia, Paryżanin zdumiewał się nad tym nędznym drewnikiem z grottem kamiennym, które przecież było bronią śmiertelną w rękach dziewczęcia.

— Nasi naddziady nie znali innej broni — odpowiedział ojciec Anzelm — a dzicy, których teraz napotkać nam się zdarzy, nie używają dotąd innej, prócz łuku. Strzelba nie długo służy w pustyni, gdyż nabożów zbraknąć musi. To też Apasze i Komanczowie używają broni palnej tylko wówczas, gdy występują do walki z białymi.

— Nie umieją więc jeszcze wyrabiać prochu?

— Nie, tak samo jak i z metalami nie umieją dać sobie rady. Rasa krajowców północnej Ameryki, chociaż pojętna, przecież jest niezdolna do postępu. Dla tego to uczeni utrzymują, że krajowcy ci nie pochodzą od wytworców nasympów, chociaż zamieszkali na gruncie, na którym tamci żyli i pozostawili ślady wyższej cywilizacji i przemysłu.

Gdy ojciec Anzelm tak mówił, Tomasz tymczasem, podszedłszy także do ubitego żubra, wrócił, niosąc język i garb zwierzęcia. Teraz wędrowcy pewni prawie byli, że dostaną się do rzeki przed nocą, a więc, że i drzewo znajdą ku przyrządzeniu owych przysmaków z żubra. Udając się w dalszą drogę, naradzali się nad jej kierunkiem. Należało zapewnić się, w którą stronę uciekły żubry, które prędzej lub później miały koniecznie powrócić do ubitego towarzysza. Dziwny ten instynkt żubrów, zwracający je zawsze na miejsce, gdzie pozostał z nich jeden zabity, bywa często wyzyskiwany przez myśliwych, którzy pewni swego, zakładają w takim razie obronny obóz w miejscu odbytej walki. Gdy stado powraca, walka rozpoczyna się na nowo i trwa w ten sposób czasami aż do zupełnego zniszczenia stada. Żubr, największy z amerykańskich czworonogów, zamieszkiwał dawniej licznie całą przestrzeń Stanów Zjednoczonych. Dziś wyniszczono go tak, że znajduje się już tylko na stepach niezamieszkałych. Dzicy nigdy nie pomyśleli o przyswojeniu go, choć najrozlicniejsze ciągną z niego korzyści. Ze skóry robią namioty, mięsem się żywią, z grzywy i z brody przyrządzają sznury, nici, tkaniny różne, z kości broń, sprzęty i siodła.

(d. c. n.)

Zadanie konkursowe Kazia.

„Srebrną jest piękna mowa, lecz milczenie jest szczerozłote”

Opowiedzieć krótko i treściwie zdarzenie rzeczywiste z własnego życia lub otoczenia, stanowiące dowód słuszności powyższego przysłowia. Przy wypracowaniu należy dodać dla wiadomości redakcyi imię i nazwisko, lata, adres dokładny, oraz pseudonym do druku. Do tego konkursu mogą należeć czytelnicy i czytelniczki do lat piętnastu. Wypracowania będą przyjmowane do 1 Czerwca.

SZARADA (Ex-Czapla).

Pierwsze z mleka się wyrabia,
Drugie znajdziem w alfabecie;
Wszystko razem was ozdabia,
Gdy jest dobre. — Cóż, zgadnuiecie?

Łamigłówka zgłoskowa (Witold Ł.)

Z następujących zgłosek: fa — ga — i — il — ir — ka — ki — kuck — la — lim — lóch — mo — nil — o — om — pias — szef — ur — zo — ułożyć wyrazy: 1. Bożek Kartagińczyków. 2. Królów Lidy. 3. Rzeka w Afryce. 4. Miasto w Azji. 5. Miasto w Mongolii. 6. Dowódca wojskowy. 7. Retor grecki sławny ze złośliwości. 8. Czółna tureckie. 9. Matka Aleksandra Macedońskiego. Pierwsze litery, od góry do dołu, utworzą nazwisko znakomitego kompozytora muzycznego polskiego ostatnie, w tym samym kierunku, tytuły dwóch jego utworów

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Niteczki Aryadny:

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zjedź świat cały, przepłyn morze,
Niema kraju nad Podole.

* * *

Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko, i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie,
I w obszarach oko ginie...
Wincenty Pol.

Łamigłówki w kwadraciku:

B	R	A	T
R	A	D	A
A	D	A	M
T	A	M	A

TREŚĆ: Pamiętnik służącego (z drzew.). — Prawdziwe czary, rzecz nudna lub zabawna, jak się komu podoba, spisana p. Maryą Świdorską. — Nadeszła wiosenka, wierszyk (z drzew.). — Most na rzece Tay (z drzew.). — Wyprawa po złote runo przygody wędrowców (c. d.). — Zadanie konkursowe. — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Sen Misi (z drzew.). — Nieznośny figlarz. — Pyszałki, (wierszyk). — Nauczyciel w kłopotach (c. d.). Łamigłówki, rozwiązania, Odpowiedzi Redakcyi i Ogłoszenie. Dodatek książkowy: Findelkind, nowelka przez Ouidę i Mały książę, powiastka historyczna przez mis Yonge przekład z angielskiego,

SEN MISI.

Mała Misia pojechała z Mamą do Odesy; Odesa jest to miasto portowe nad morzem. Mama była trochę chora i doktor kazał jej kąpać się w morzu, a i Misia także kąpała się z Mamą, bo takie kąpiele są bardzo zdrowe.

Dziewczynka chodziła też często z boną na brzeg morza, patrzyła na okręta, na łódki, pływające po wodzie i wielką miała ochotę przejechać się na takięj łódce. Nieraz nawet wioślarze zapraszali ją, aby wsiadła, mówiąc, że niedrogo sobie każą za to zapłacić, ale bona za nic nie chciała na to pozwolić w nieobecności Mamy, a Mama była cierpiąca i nie mogła się łódką przejeżdżać.

Misia dąsała się za to na bonę, a nawet, aż wstyd powiedzieć, nadąsała się troszkę i na Mamę, gdy ta powiedziała, że bez siebie nie pozwoli jej wsiadać na łódkę, i że trzeba

Za to przy samym brzegu morskim stał niewielki cebrzyk drewniany i Misia pomyślała sobie, że możnaby wybornie się przejechać w tym cebrzyku, tak zupełnie, jak w czółenku. Jak pomyślała, tak zrobiła: spuściła cebrzyk na wodę, a potem hop! skoczyła w niego, rozłożyła parasolik nad główką i popłynęła chyżo na pełne morze.

Malutki statek Misi pędził, jak strzała, po falach, dziewczynka wydziwiła się temu nie mogła, bo nie miała wiosła, a żeglarze przecież zawsze wiosłami łódzie popychają. Ale pomyślała, że to pewnie parasolik pędzi czółenko, tak jak żagiel.

Już i brzeg zniknął z oczu Misi, widziała tylko rozległe morze dokoła, a wtedy troszeczkę jej się straszno zrobiło. Chciałaby była już wracać, ale nie wiedziała, jakim sposobem zawrócić czółenko. Aż tu wiatr nagle się zerwał, cebrzyk okropnie podskakiwał, to znowu zanurzał się głęboko, Misia zaczęła krzyczeć, bo wiedziała, jaka to straszna jest rzecz burza na morzu. A tu ona sama jedna płynie w czasie burzy,

Wicher zawył jeszcze okropnie, cebrzyk przechylił się! Misia już miała wpaść do wody, puściła z ręki parasolik i zawołała raz jeszcze żałośnie, choć wiedziała, że nikt jej usłyszeć nie może:

— Mamo! Mamuniu! Panno Emilio, ratujcie!

— Cóż to ci się stało, moje dziecko? — odpowiedział niespodzianie głos Mamy — musiało ci się przyśnić coś straszego.

I Misia otworzyła oczki, a tu Mama stoi przy niej, trzymając ją za rączkę, ona zaś leży na podłodze, z główką opartą o stołeczek Mamy pod nogi. O, co za radość! To wszystko jej się tylko przyśniło, ona spała w pokoju, nie płynęła wcale w cebrzyku.

Misia opowiedziała Mamie okropny swój sen i postanowiła czekać cierpliwie na przyjazd Taty, i nie napierać się przejażdżki łódką po morzu.



Sen Misi.

poczekać z tém na Tatkę, który miał także niezadługo do Odesy przyjechać.

Dnia pewnego upał był wielki, Mama powiedziała, że wieczorem dopiero można będzie wyjść na przechadzkę, a tymczasem kazała Misi siedzieć w pokoju. Rolety spuszczone, bo słońce strasznie przypiekało i ciemno było prawie w pokoju. Misia usiadła na niskim stołeczku w kąci i sen ją zmorzył taki, że eo chwila oczki musiała przecierać, ażeby nie usnąć na dobre.

Zacząła też sobie dziewczynka myśleć o tém, jakby to było przyjemnie płynąć łódką po morzu i jaka to wielka szkoda, że Mama na to pozwolić nie chce. I przyszła Misi do głowy myśl bardzo niemądra: — Czemużbym ja nie miała wsiadnąć do łódki tak, żeby Mama nie wiedziała?

A pomyślawszy to, nasza Misia wstała cichuteńko, włożyła kapelusik, wzięła do ręki ładny parasolik, który jej Mama kupiła w Odesie i wyszła niepostrzeżona z pokoju do sieni, a z sieni na ulicę. Pobiegła szybko aż na wybrzeże, patrzyła, czy niema łódki gdzie bliźutko i czy wioślarz nie będzie jej zapraszał, jak to zwykle bywało. Ale rzecz dziwna: nie widać było nigdzie, ani okrętów, ani łódek, ani wioślarzy.

NIEZNOŚNY FIGLARZ.

Pewien chłopczyk, imieniem Tadzio, bardzo pilny, grzeszny, żwawy, i rozgarnięty, miał przecież jedną wielką wadę, był psotny figlarz. Na pozór zdawałoby się, że to nie wielka wada, bo nie był przecież wcale złośliwym, owszem, serduzko miał dobre, za nic w świecie nie uderzyłby pieska, ani kota, ani konia i nieraz bardzo rozsądnie mówił o tém do stangretów, nauczając ich, że tylko dobre i łagodne obejście, a nawet głośkanie i pieszcoty czynią konia dobrym i posłusznym, a złe obejście narownym go czyni.

A jednak mimo to wszystko, Tadzio, z przyczyny swojej wady, nieznośnym był chłopakiem. Bo niech tylko wybierał się stary Chmura z państwem jechać w gościnę i bat swój z całą starożytną sztuką przyrządził, aby zajeżdżając przed cudzy ganek, huknąć wspaniale, jak z armaty, na zazdrość młodszemu stangretom, to jeżeli jechał i Tadzio w gościnę, wtedy wszystko było dobrze; ale gdy bez Tadzia jechano, to choćby nie wiedzieć jak Chmura strzegł bata, przecież Tadzio potrafił do niego się dorwać i tak mu się przysłużyć, że zamiast armatniego huku, stało się tylko przed obcym gankiem, jakby kto kichnął... Chmura ledwo że nie omdlał z konfuzji, a Stach, drugim powozem jadący, aż się pokładał od śmiechu z gniewu Chmury, gdyż bardzo wielką rzecz robił zawsze Chmura ze swego nadzwyczajnego talentu do palenia z bata.

Siostrzyczka Andzia lubiła w wolnych chwilach, wystroiwszy pięknie swą lalkę, wyjść z nią do ogrodu. Z początku chodziły obie po alejach poważnie, rozmawiając o muzyce, rysunkach, książkach z obrazkami, o pinczerku Pyziu i o kankarku Niutku, zwyczajnie, jak dwie panie; ale gdy się Andzi

poważna przechadzka sprykrzyła, wtedy, posadziwszy lalkę na ławce, sama pobiegła z kółkiem albo ze sznurem. Biegnie więc Andzia koło stawu, spojrzy, aż tu lalka topi się w stawie i już tylko różową suknię jej widać z wody.

— Ratujcie! ratujcie! panna Kazimiera tonie! — krzyczy Andzia i o mało nie rzuci się już w staw, aby ratować pannę Kazimierę, wtém spojrzy, aż tu panna Kazimiera siedzi sobie najspokojniej na ławce, tak, jak ją Andzia posadziła, a to Tadzio jakiś kawalek taki, jak suknia lalki, schwyciwszy, ułożył go na podobieństwo sukni lalczynej i rzucił w staw daleko, na utrapienie Andzi.

Kiedyindziej znowu starsza siostra Eliza wchodzi do swego pokoju, a tu na środku leży kanarek Niutek z wyciągniętymi nóżkami, nieżywy... Eliza, chociaż panna dorosła, krzyczeń zaczęła o Niutka, tak samo jak Andzia o pannę Kazimierę i chwytą Niutka, aby go ratować... a to był kanarek z włóczki na lampę zrobiony, a Niutek prawdziwy, na krzyk swojej pani, odpowiedział jeszcze głośniejszym okrzykiem.

W taki to sposób Tadzio płatał figielki, niby niewinne, bo przecież nikomu szkody nie zrobił, ani zmartwienia istotnego, ale przecież psocił ciągle i sprawiał bezustanne przykrości. Naprawdę pan Adam nauczyciel wymownie mu dowodził, że uprzykrza się wszystkim, i choć niby nic na prawdę złego nie czyni, przecież zmartwieniem sprawia chwilowe. Tadzio tak bawił figle takie, że choć posłusznie przyrzekał więcej ich nie broić, jednak zapominał o przyrzeczeniu przy pierwszej do psoty sposobności.

I ojciec i matka nieraz też zgromili Tadzia, a on obiecał poprawę i poprawił się istotnie na całe trzy dni... z dzisiaj, a potem znowu dokuczał psotami, nietylko ludziom, ale nawet zwierzętom i innym stworzeniom, ile mógł. Czasem po pół godziny drażnił kanarka Niutka, przeszkadzając mu gryźć cukier w klatce i śmiał się, gdy Niutek rozszuszczony przyskakiwał mu do palca, bijąc skrzydełkami i usiłując naprośno pomścić się na tym niegodziwym palcu, który mu koło cukru bruździł.

Takie i t. p. rzeczy długo już trwały i żadne napomnienia nie skutkowały na Tadzium. Aż wtém przywieziono nareszcie oddawna oczekiwane łabędzie i na staw je puszczono. Andzia z nauczycielką, panna Eliza i Tadzio z pana Adamem, często zaczęli nad staw chodzić, nosząc bułkę dla łabędzi i przypatrując się, gdy ją zgrabnie chwytają. I otóż Tadzio nowego sobie figla wymyślił: zamiast bułki, rzucał kawałki korka, kamyki, i inne takie rzeczy i śmiał się z próżnych kłopotów łabędzi. Wtém raz przechodzi sobie Tadzio najspokojniej koło stawu, a tu łabędź stary jak nie wyskoczy z wody, jak nie rzuci się na niego... gdyby nie pan Adam, który był blisko, byłby łabędź Tadzia porządnie poturbował:

— Cóż to za szkaradne, złośliwe ptaszysko, to trzeba odeśłać precz z ogrodu! — zawołał Tadzio, ochłonałszy ze strachu.

— Nie — odpowie pan Adam — łabędź nie jest złośliwym, ale ty, Tadzium, jesteś tak nieznośny z twoimi figlami, że nawet spokojnego ptaka doprowadzasz do gniewu.

Tadzio tak się jakoś zdziwił i zawstydził na te słowa, jak mu się to nigdy jeszcze nie zdarzyło, choć nieraz strofowano go za drażnienie kanarka. Czasem bywają chwile, w których nauczka lepiej idzie do głowy, niż w innych. Tadzio odszedł zamyślony od stawu, figlów zaprzestał, i zawsze od tąd stronił od łabędzi, które dowiodły, iż tak bardzo jest nieznośny, że się aż ptakom uprzykrza.

PYSZAŁKI.

— Wy sprząty, które w drogę mi wchodzicie,
Precz ztąd! bo noszę człowiekowi życie,
Jam jest flaszka z lekarstwem!... — tak dumnie,
Flaszeczka rzecze do drobiazgów, tłumnie
Zalegających stolik, koło łóżka.

A wtém lekarstwo szepnie jej do uszka:

— Któż to uzdrawia? flaszka, czy lekarstwo?

Ty tylko możesz, przez lada niezdarstwo,
Śluc się, i przez to mnie roztrwonić marnie!
Więc na te słowa flaszkę gniew ogarnie,
Zatém z lekarstwem, nie łagodném wcale,
Gwarliwą kłótnię rozpoczną w zapale.
Aż chory, gdy się użyć ich sposobi,
Rzecz: — A któż to was oboje robi?

NAUCZYCIEL W KŁOPOTACH.

CZYLI

PIĘĆDZIESIĄT DNI WAKACYJ,

napisał Michał Krzemień.

(Dokończenie).

— Hm — rzecze Wacio — to prawda, i mnie się jeść chce, a wracać nie warto, bo deszcze teraz często padają, to śpieszyć się trzeba z grzybami; gdybyśmy choć kartofli mogli sobie upiec, to może wytrzymałibyśmy o nich przez cały dzień i z pełnemi koszykami już od razu do pani Janickiej wrócili, ale cóż, kiedy zapalek nie mamy, bo co kartofle i drzewo, to jużbyśmy łatwo w lesie i na zagonie znaleźli.

— A, a kąd to ten dym nas zalatuje? czy to nie kartofle sobie pieką pastuchy? — spytali chłopcy.

Wszyscy zaczęli szukać tego ognia, z którego powstawał dym, usłyszeli potem jakiś klekot i wkrótce znaleźli, ale nie pastuchów tylko dobrze sobie znajomą przyjaciółkę, starą Bartusiową, parobkową, która pod zarostami tuż z brzegu miedliła len. Nad niewielkim dołem wystawiła Bartusiowa coś podobnego do szałasu, osłoniwszy z boku gałęzie płachtami, aby mieć wiatr, jak jej było potrzeba, w dole tliło się ognisko, nad niém suszył się poukładany jak należy len, już wymoczony w strudze; dwie córki Bartusiowej i sama Bartusiowa stały koło dołu, każda przy utwierdzonej w ziemię miedlicy, i biorąc garściami długi len, tarły go zgrabnie w miedlicy, wysuwając i wkładając lewemi rękami, a prawemi bijąc drewnianemi niby tasakami, z czego klekot tych drewnien słyhać było daleko.

— O! a to panicze przychodzą nam pomagać? czy grzyby zbierają? — krzyknęły trzy kobiety.

— My przychodzimy na śniadanie do Bartusiowej — odpowiedział Wacio. Bartusiowa już naprawdę chwyciła za garnki z barszczem i kartoflami, które sobie i córkom przygotowała na cały dzień roboty pod lasem, ale Wacio wyciągnął z kosza parę butelek zaprawionego już śmietaną lekkiego piwa domowego, jakie chłopcy zazwyczaj na wsi na śniadanie jadali z chlebem. Bartusiowa piwo w mgnieniu oka zagrzała, chłopcy wyciągnęli już sami wiejski chleb z pakunków z kosza, wszyscy się najedli, Bartusiowej podziękowali, pomiedlili trochę zamaszyscie, aż echo odbijało się od lasów i już pędzili do dalszej roboty koło grzybów, gdy Wacio przypomniał, że trzeba o obiedzie pomyśleć. Usiedli obok niego i obok kosza, i ciekawie patrzyli, jaki też to on obiad wymyślił. Wacio wyciągnął z kosza rądel spory, masła i bułki tartéj dużo, wysmarował rądel masłem *galanto*, jak się wyraziła Bartusiowa, wysypał go bułką grubo, a chłopcom tymczasem kazał rydze świeże myć i czyścić w pobliskim strumyku, potem warstwę rydzów ułożył na dnie rądla, posypał solą, bułką tartą i trochę masła położył, i znowu kładł warstwę rydzów, i bułkę, i sól, i masło, aż rądel był pełen, wtedy szczelnie go nakrył pokrywą i kazał Bartusiowej tę potrawę w żarze upiec, i dopiero poszedł z chłopcami dalej zbierać grzyby.

Pracując gorliwie, uzbierano istotnie pełne kosze, wrócono nad wieczorem już do Bartusiowej, bo z wielkiej pracy zapomniano prawie o jedzeniu, aż już nie było w co zbierać więcej, zjedzono potrawę z rydzów taką smaczną z wiejskim chlebem, że się chłopcy aż oblizywali, może i dla tego, że głodni byli, i dopiero z bogatym plonem wrócono na wieczór

do pani Janickiej. Cokolwiek z mordowani pokładli się chłopcy spać, gawędząc o tём, że teraz, kiedy grzyby już zebrane, pewno pani Janicka da im pokój ze swojemi gospodarskimi wyprawami, i usnęli w przekonaniu, że na resztę wakacyj będzie można wrócić do Azji, choćby się nawet baz trawy obejść, a czём sztucznie ją zastąpić, aby przeciw państwa takie jak Chiny, Persya etc. odznaczały się wyraźnie od siebie. Myśląc, czemby tu trawę zastąpić, usnęli z mordowani pracownicy.

Dziwny zawód czekał ich przy przebudzeniu. Oto grzyby były tak pięknie wybrane, że nie znalazł się ani jeden podejrzanej natury, a pani Janicka, zamiast zadowolnić się usługą chłopców, zachwyciła się ich znajomością spraw gospodarskich i prosiła o dalszą pomoc przy nawale roboty obecnej. Dzieci same nie wiedziały, czy się smucić, że nie mogą robić, co im się podoba, czy też cieszyć się, że mogą być prawdziwą pomocą w domu. Zdecydowali się dopiero na uciechę, gdy Wacio zapewnił ich, że nie wie zupełnie, czemby trawę zastąpić na mapie Azji, ani czemby wzmocnić swoje kości rozkołatane ostatnimi podróżami po Ameryce, gdyż bądź co bądź, Anglik jest Anglikiem, a Polak nigdy mu we włóczędzie placu nie dotrzyna. Chłopcy rozmieli się, uściskali Wacia i zgodzili się pomagać pani Janickiej. Nie domyślali się, że Wacio miał w tём swój interes, aby ich ciągle przy domowych sprawach trzymać, a to dla tego, aby nie zaglądali do gospodarskich zabudowań, do pana Janickiego, gdzie były siewczarnie, młocarnie, i inne maszyny, bo Wacio bał się maszyn dla dzieci okrutnie i słusznie, gdyż bywają one dla swawolników częstokroć przyczyną kalectwa i śmierci nawet.

Postanowiono zatem pomagać pani Janickiej, a to znaczyło, najprzód jeszcze przez parę dni grzyby zbierać, a potem zająć się robotą około śliwek. Śliw było dużo w sadzie sprwskim i pani Janicka miała z nich dochód nie lada, bo sprzedawała je i suszone i jako powidła. Robotą z tём była jednak ogromna, na trzeba przecież śliwki zbierać, przebrać i obrać, nim się coś z niemi zacznie robić na dobre, a tu pan Janicki nie chciał dać robotnika, obyczajem wszystkich panów gospodarzy, co zawsze paniom gospodyniom skąpią rąk do roboty, równie, jak ziarna dla drobiu i dla tego to pomoc chłopczyków była naprawdę potrzebna, bo tylko jeden parobek przychodził czasem do najcięższej roboty, a zresztą już tylko Bartusiowa i jej dwie córki robiły naprawdę przy pomocy chłopców i samej pani Janickiej.

Było tedy co robić i nie przez jeden dzień ani nawet przez trzy. Najprzód zebrało się śliwki z drzewek i obierało się je czysto i pięknie, oczywiście na dworze, bo pani Janicka tylko taką robotę dzieciom dawała, którą na świeżem powietrzu dopełniać mogły, gdyż nie po to na wieś przyjechały, aby w pokoju siedzieć. Przy obieraniu śliwek opowiadał Wacio o nich różne rzeczy; że śliwa pochodzi ze Wschodu, że to jest roślina z rodziny różowatych, z plemienia migdałowych, że jest niezmiernie wiele gatunków śliw, że drewno śliwy tak zwanéj domowej jest bardzo użyteczne stolarzom i tokarzom, że śliwki używają się w medycynie, jako lekarstwo, że we Francji przyrządzają z pestek olej, używany do oświetlenia, że przez fermentaoyą śliwek z pestkami robi się z nich mocny napój, zwany śliwownicą, że śliwki suszone są bardzo ważnym przedmiotem handlu w Europie środkowej, że w Kijowie wyrabiają z nich konfitury suche, a największy wyrób i handel taki jest w Węgrzech. I wiele innych rzeczy powiadał Wacio.

Gdy się przygotowywanie jednej części śliwek skończyło, przyszło je smażyć na powidła. Zaniesiono tedy duży kocioł żelazny pobielany pod owę sośninę, gdzie to Bartusiowa len międliła, ustawiono go nad tym samym dołem, zawsze w takich razach używanym, gdyż był dość daleko od zabudowań, aby iskra nie doleciała, włożono śliwki w kocioł a pod kotłem napalono ogień, i tak się śliwki na powidła smażyły. Pilnować zaś trzeba było dobrze, aby ogień był równy i stosowny, żeby się usmażyły a nie przypaliły. Więc pani Janicka z ogromną łyżką w ręce stała nad kotłem, mieszając, przypatrując się, próbując, sama mówiła, że tak właśnie

w bajce stoją czarownice i mieszają w kotłach swoje leki czarodziejskie, węże, i żaby, i różne okropności dorzucając do kotła. Ale chłopcy na to powiedzieli, że podobieństwo takie jest tylko chyba w kotle i w łyżce, ale już same powidła są z pewnością lepsze od czarodziejskich smażeń, a dobra pani Janicka, czysto ubrana, umyta i gładko uczesana, nic a nic do rozczochranych i złośliwych czarownic nie może być podobną. Trzeba było gałęzi pod kocioł ciągle zwolna dokładać, naczynia na powidła przygotowywać, a potem wyjmowała Bartusiowa powidła z kotła, a świeże śliwki wkładała i znowu się to smażyło.

Chwilami, gdy nie było gwałtownej koło kotła roboty, a pani Janicka i Bartusiowa same dawały temu radę, chłopcy biegli zbierać rydze tuż naokoło w zaroślach i do smażenia przygotowywali je w rądlu, na sposób Wacia, bo im to bardzo smakowało, potem wszyscy, i pani Janicka, i Bartusiowa, i Wacio, siadali w około kotła i rądla, pilnowali i jedli, a wyglądali przytём zupełnie, jak banda cyganów.

Gdy tak raz właśnie siedzieli koło rądla po cygańsku, spojrzą przypadkiem, aż tu pan Janicki z panem Małeckim wychodzą z lasku... Powstał krzyk, śmiech, witanie, skkanie, wypytywania o matkę i siostrę, ale na tём się skończyło, że pan Małecki przysiadł się do owéj cygańskiej potrawy i oświadczył po należytém wypróbowaniu, że zagranicą nie umieją jej ludzie tak smacznie przyrządzać.

Dzień L-ty.

Chłopcy siedzieli długo u ojca, jeden na jednem kolanie, drugi na drugiem, a najstarszy siedział przed nim i rozmawiali, odpowiadając na wszystkie pytania, jak przepędzili pięćdziesiąt dni wakacyj. Potem ojciec uściskał synków, uściskał tak samo Wacia Łuckiego, którego nasamprzód o sprawowanie chłopców zapytał. Ale potem chłopcy coś z sobą szepać zaczęli, a w końcu, uwiesiwszy się ojcu u szyi, prosili go o coś po cichu a serdecznie, aż ich znów uściskał i powiedział do Wacia:

— Panie Łucki! czy wiesz pan, o co proszą moi malcy? o to, aby się z panem nie rozłączać. Otóż, jeżeli pan chcesz, to uważaj mię pan za ojca, którego nie masz, mieszkaż u mnie i bądź korepetytorem moich chłopców i przyjacielem zarazem takim, jak przez wakacye byłeś, bo jeżeli korepetytora za pieniądze dostanę, to przyjaciela nie dostanę, a to jest właśnie największe dobro, jakie pragnę dzieciom moim na świecie zapewnić.

Wacio serdecznie podziękował i na wszystko przystał, poczem, pożegnawszy się z panem i panią Janicką, wyjechali wszyscy do Warszawy, gdzie już była pani Małecka z córką, obie zdrowe zupełnie, a potem Wacio zamieszkał u państwa Małeckich ze swymi uczniami i dotąd mieszka, i kochają się bardzo, i chodzą wszyscy czterej do tegoż samego gimnazjum, tylko Wacio do wyższej klasy a chłopcy do niższych i wszyscy mają same piątki i czwórki, — i koniec.

Homonimy (Zetka).

Rośnie na drzewie,
Któż o tём nie wie?
Nie jedno jedzenie z tём smaczne.
Obok szerokiéj
Puckiej zatoki,
Opactwo to jest — i znaczne.

Łamigótkwa głoskowa (Kruszynka).

. ra . Jezioro w Azji.
. ol . Drobne owady.
. ła . Wojskowy.
. yg . Miasto nad Bałtykiem.

Zastąpić kropki literami i ułożyć wyrazy, których początkowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwę rzeki w tój samej części świata.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Szarady:

Ce — li — na.

Łamigłówki zgłoskowej:

Pan — Ebro — Kot — Iran — Nubia — Garnek.
Peking — Kanton.

Skrzynka do listów.

Konikowi Polnemu. W łamigłówce, zwaney zegarkiem, wyrazy powinny mieć jednakową ilość liter. Co do zagadki liczbowej, możemy tylko powtórzyć to, co odpowiadamy wszystkim nadsyłającym łamigłówki: będzie drukowana, ale wtenczas, gdy się miejsce na to znajdzie.

Różyczce z Odesy. Jedna zagadka już była drukowana, a i na inne przyjdzie kolój. Jak to ładnie, że Różyczka jest cierpliwa i rozumie, jak niełatwo z temi łamigłówkami wszystkim dogodzić. Zawsze jednak pierwszeństwo mają te, które są tak wyraźnie, porządnie i kaligraficznie pisane, może więc Różyczka o swoje być spokojna.

Malinie z Siedlec. Szarada bardzo dobrze ułożona, wydrukujemy ją chętnie, ale jeśli to troszkę się opóźni, niech kochana Malina stara się być cierpliwa. Prospektów pism zagranicznych redakcyja nasza nie może rozsyłać, zadużoby to nam przyczyniało kłopotu.

Słoń tak często zmienia pseudonimy i tak starannie osobistość swoje ukrywa, że dotąd prawdziwego jego imienia i nazwiska nie znamy, a radziłyśmy się z tak dawnym korespondentem bliżej zapoznać. Przy rysunku „Sylwetki” daliśmy opis szczegółowy. Każda lampa, w ogóle każde światło może wytworzyć cień na ścianie, a odległość łatwo uregulować tak, aby cień miał rozmaite właściwe i wyraźnie się odbijał. Dziennik podróży Kazia w Tatrach był drukowany w „Wieczorach” w r. 1880, wyszedł także w osobnej odbitce nakładem p.p. Gebethnera i Wolffa. Sosenka, która o tym dzienniku wspominała, jest panią dziesięcioletnią, ma imię Helenka.

Synogarliczce dziękujemy za spełnienie naszego życzenia. Rozwiązanie zagadki i tym razem jest trafne. Iskierka nazywa się Marylka, nie znamy prawdziwego imienia Dzikiej Róży.

Iskierce i Dzikiej Róży zasyła pozdrowienie Synogarliczka.

Chruściel z nad Zelwianki nadesłał trafne rozwiązania i łamigłówki dobrze ułożone, cóż, kiedy miejsca obecnie na nie nam braknie.

Bekas z nad Zelwianki niech odczyta powyższą odpowiedź, która się i do niego stosuje.

Aleksander K. zapytuje, co znaczy w wierszyku wyrażenie: „Niema Boga tylko Bóg”. Autor naśladował w tym wierszu ustawicznie powtarzane przez mużulmanów zdanie: „Bóg tylko jest Bogiem, a Mahomet jego prorokiem”. Zadania historyczne są dobre, zamieścimy je, tylko nie zaraz.

Trzy szczygiełki nadesłały dobrą łamigłówkę, ale muszą poczekać cierpliwie, aż miejsce się znajdzie na nią.

Helence B. Szaradę zamieścimy, jak tylko można będzie najprędzej.

Motytek z nad Sekwany niech czeka cierpliwie, a niezawodnie y zagadkę swoją w druku.

Łabęd bardzo dobrze układa łamigłówki, ale niestety! nawet najlepsze miejsca już w Piśmie naszym braknie.

Władysław nadesłał dobre rozwiązania naszych łamigłówek, a liścik tak ładnie i kaligraficznie, że serdecznie mu za to dzięku-

jemy. Nie możemy tylko zrozumieć, dla czego ojciec aż dwa razy „Wieczory” opłacił, w księgarni i owocarni?

Pawie piórko nadesłało dobre zadania konikowe, ale łamigłówka zgłoskowa nie jest według prawideł ułożona, bo dwie litery bez żadnego znaczenia nie mogą wyrazu zastąpić.

Choinka bardzo ładny wybrała sobie pseudonym, a chociaż widać z pisma, że biedna jej rączka drży jeszcze po chorobie, liścik napisała bardzo wyraźnie i starannie. To też cieszymy się szczerze obietnicą stałej korespondencyi.

Niezabudka z nad Sony trafnie odgadła zadanie konikowe, lecz w łamigłówce kryształowej się pomyliła.

Czarownica z Łysiej góry przesyła ukłony Iskierce, Synogarliczce, Topolce, Dzikiej Róży, a o redakcyi widocznie zapomniała!

Liść herbaciany ucieszył nas niezmiernie miłym i serdecznym swoim liścikiem, stęskniliśmy się już bardzo za tém pismem, tak dobrze znaném. Szkoda wielka, że nas ominęła przyjemność obaczenia Listeczka chińskiego w czasie pobytu jego w Warszawie, ale nie tracimy nadziei, że się to innym razem powetuje. Braci-szkowi i siostrzyczce uściski zasyłamy, a Mamie serdeczne pozdrowienie i podziękowanie za tyle życzliwości.

Mani kochanej liścik, ołoweczkiem napisany, do łez nas rozrzewnił, oby ją Bóg błogosławił za takie pocziwe serduszko.

Świtezianka, która nadesłała odpowiedź na zadanie konkursowe, musi sobie inny pseudonym wybrać, lub dodać do tego jakiś przmiotnik, bo mamy już stałą korespondentkę Świteziankę.

Czajce z lasów Służewskich. N-ra Pisma zeszłoroczne są jeszcze w niewielkiej ilości, odstępują się po 10 kop., tylko trzeba nadesłać adres dokładnie.

Państwu R. w Dubieszkowie pod Rogowem. Czajka przesyła ukłon i podziękowanie, a paniąkom pozdrowienie.

Czeremcha z nad Cetyni nadesłała dwie łamigłówki, które jednak nie mogłyby być drukowane, nawet, gdybyśmy na nie mieli miejsce; pierwsza niewłaściwie jest zaadresowana, a życzenie spóźnione, w drugiej zaś, bardzo zresztą stosownej, jest parę omyłek, litera e nie może zastąpić litery ę, nie pisze się *przesela*, tylko *przesyłam*.

Sokolnik bez sokołów tak ładnie i kaligraficznie wypisał swoje łamigłówki, że z żalem prawdziwym musimy go prosić o cierpliwość, tak samo, jak i wszystkich, bo mamy ich już za dużo.

Panu Br. F. w gub. Kijowskiej. Chociaż zbieramy składki na kolonie wakacyjne, nie mamy jednak w urzędzeniu ich najmniejszego udziału. Możemy więc tylko zakomunikować list pański komu należy, jeśli pan nas do tego upoważni.

Panu Władysławowi Bukowińskiemu w Sandomierzu. Listu z markami na opłatę Don Kiszota nie otrzymaliśmy; jeśli był rekomendowany, trzeba się upomnieć na poczcie.

P. Maryi Br. w Stawiszczach. Żądany dodatek posłałszyśmy pocztą.

P. Jadwidze Baranowski w Orłówce. Jakkolwiek nie donosiliśmy o tém, pozostałe od prenumeraty kop. 50 oddane zostały ubogim; zwykle bowiem wszelkie podobne żądania spełniamy niezwłocznie.

Prenumeratę w ilości rs. 12 (koszta przesyłki rs. 1.) na mapę poglądową Królestwa Polskiego ułożoną przez J. Wójcicką przyjmuje Redakcyja naszego Pisma.

Po zamknięciu prenumeraty co w dniu 15 Kwietnia nastąpi cena mapy wynosić będzie 15 rubli. Mapa kolorowa wyjdzie w połowie Maja i oddaną będzie prenumeratom w końcu Maja podklejona na płótno, werniksowana, oprawiona w dwa wałki, ozdobnemi gałkami zakończone. Do zawieszenia mapy służyć będzie sznur trzema pętlcami zaopatrzony.